**Problem: Jakim czynem wsławił się Michałko i dlaczego tak postąpił?**

**W jakim celu Sienkiewicz wprowadził taka postać do swojej książki?**

Wojna stawała się co dzień straszliwszą. Nieco wojska polskiego jeszcze trzymało się Szwedów, ale trzymano ich tylko postrachem. W drodze do Leżajska zbiegło ich wielu, pozostali wszczynali co dzień takie tumulty w obozie, iż Karol Gustaw rozkazał w samym Leżajsku rozstrzelać kilku towarzystwa. Było to hasłem ogólnej ucieczki(…)Wówczas sam Karol Gustaw postanowił zawsze iść z tylną strażą, by ducha obecnością swą dodawać.  
Lecz zaraz w początkach o mało życiem tego nie przepłacił. Zdarzyło się, że mając przy sobie pułk lejbgwardii, najtęższy ze wszystkich pułków, bo żołnierzy do niego z całego narodu skandynawskiego wybierano, zatrzymał się król na odpoczynku we wsi Rudniku. Tam zjadłszy u plebana obiad, postanowił zażyć nieco spoczynku, albowiem poprzedniej nocy oka nie zmrużył. Lejbgwardziści otoczyli dom, by nad bezpieczeństwem królewskim czuwać. Tymczasem księży pacholik od koni wymknął się chyłkiem ze wsi, na źrebaka i popędził do pana Czarnieckiego.

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś przednia straż, złożona z pułku księcia Dymitra Wiśniowieckiego, szła pod panem porucznikiem Szandarowskim nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z Rochem Kowalskim, który z rozkazami od kasztelana przyjechał, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego co koń wyskoczy pacholika.  
-Co to za diabeł tak pędzi? - rzekł Szandarowski - i jeszcze na źrebaku.  
-Chłopak wiejski - odrzekł Kowalski.  
Tymczasem pacholę przyleciało przed sam szereg i zatrzymało się dopiero wówczas, gdy źrebak, przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął dęba i zarył kopytami w ziemię. Pacholik zeskoczył i trzymając go za grzywę skłonił się panom rycerzom.  
-A co powiesz? - spytał zbliżywszy się Szandarowski.  
-Szwedy u nas w plebanii! gadają, że sam król między nimi! - rzekł pachołek z iskrzącym wzrokiem.  
-A siła ich?  
-Nie będzie nad dwieście koni.  
Szandarowskiemu z kolei zaświeciły się oczy; lecz bał się zasadzki, więc spojrzał groźnie na chłopaka i rzekł:  
-Kto cię przysłał?-Co mnie kto miał przysłać! Samemu na źrebaka skoczył, ledwom się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie, ścierwa, nie obaczyli!  
Prawda biła z opalonej twarzy pacholika i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pałały i stał przed oficerami, trzymając jedną ręką za grzywę źrebca, z rozwianym włosem, rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.  
-A gdzie reszta szwedzkiego wojska? - spytał chorąży.  
-Jeszcze o świtaniu przewaliło się ich tyla, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden śpi u dobrodzieja, powiadają, że król.  
Na to Szandarowski:  
-Chłopie, jeśli łżesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś, o co chcesz.  
A pacholik skłonił mu się do strzemienia.  
-Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno żeby mi wielmożny pan oficer "siablę" dać kazał.  
-A dać mu tam jaką szerpentynę! - krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski.  
Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze pachołka, gdzie dwór, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł:-Pilnują, psiajuchy! Kiedy byście prosto poszli, to was obaczą, ale ja waju za olszynę poprowadzę.  
Wydano wnet rozkazy i chorągiew ruszyła zrazu rysią, potem w skok. Pachołek jechał oklep na swoim źrebaku, bez uzdy, przed pierwszym szeregiem. Źrebaka piętami gołymi poganiał, a coraz to spoglądał promienistymi oczyma na obnażoną szerpentynę.  
Gdy już wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą, trochę grząską, ku olszynom, w których było jeszcze błotniściej; za czym zwolnił koniom.  
-Cichajcie! - rzekł chłopak - jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania.  
Więc poczęli się posuwać bardzo z wolna, bo i droga była trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna poczęła rzednąć i wyjechali na brzeg.  
Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeli idący nieco w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między którymi widać było słomiane wiechetki ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w czółenkowych hełmach i pancerzach.  
Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo wychudzonych, koniach i stali w gotowości, jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami opartymi o uda, a patrzyli wszyscy w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały błękitny sztandar ze złotym lwem powiewał nad ich głowami. Dalej, naokoło domu, stały straże, po dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła bujnym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzec.(…)  
Chwilę jeszcze trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął okrutnie. Na to rajtar ze straży spojrzał, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace, i wypalił z pistoletu. Dobiegłszy do płotu wspiął konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów, broniącą się prawemu skrzydłu polskiemu, które przed chwilą właśnie okrążywszy dom, zderzyło się za ogrodem ze Szwedami.  
-W konie! - krzyknął Karol Gustaw.  
I obaliwszy pchnięciem szpady jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wydostał się z wiru bitwy; za nim rajtarowie rozerwali szereg polski i ruszyli całym pędem, jako stado jeleni, gnane przez psy, pędzili tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik.  
Jeźdźcy polscy zwrócili za nimi konie i rozpoczęła się gonitwa. (…)

Jak gdy żniwiarze staną z dwóch stron łanu i poczną migotać sierpami, łan niknie, a oni widzą się coraz bliżej, tak pierścień polski zaciskał się coraz bardziej, tak iż walczący z jednej strony mogli już dojrzeć krzywe szable walczących po przeciwnej.  
Pan Szandarowski szalał jak huragan i wżerał się w Szwedów, jako zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furią przewyższył, a było nim owo pacholę, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży źrebiec, trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po gródzi, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrzętu, rzekłbyś: wściekł się jak pan jego; więc ze stulonymi uszyma, z oczami wyszłymi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą parł naprzód, kąsał, wierzgał, chłopak zaś szablą, jak cepem, machał na oślep, w prawo, w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza rapierów podziurawiły mu ramiona i uda; twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnym życiu zdesperował i pragnie tylko pomścić śmierć swoją.

Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie koło królewskiego sztandaru zostało się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali ponuro, z zaciśniętymi zębami; żaden rąk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość.  
Wtem w zamęcie rozległy się głosy:  
-Chorągiew brać! chorągiew!  
Usłyszawszy to pachoł żgnął sztychem źrebca i rzucił się jak płomień naprzód, gdy zaś każdy z rajtarów stojących przy sztandarze miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez gębę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską.  
Błękitny sztandar upadł z nim razem.  
Najbliższy rajtar, krzyknąwszy okropnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddarł w mgnieniu oka, zwinął ją w kłąb i przyciskając obu rękoma do piersi, począł wrzeszczeć wniebogłosy:  
-Mam, nie dam! Mam, nie dam!  
Ostatni pozostali rajtarowie rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch.Za czym kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku chłopakowi.  
-Chorągiew, dawaj chorągiew! - poczęto wołać.  
Szandarowski poskoczył mu z pomocą.  
-Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu kasztelanowi odda.  
-Jedzie kasztelan! jedzie! - ozwały się liczne głosy.(…)  
-Vivat Czarniecki!  
-Daj Bóg drugie prędko spotkanie!... Vivat!... vivat!...  
A kasztelan na to:  
-Pójdziecie do tylnej straży dla wypoczynku. Mości Szandarowski, a kto wziął chorągiew?  
-Dawajcie pachołka! - zakrzyknął Szandarowski - gdzie on?  
Żołnierze skoczyli szukać i znaleźli pachołka siedzącego pod ścianą stajenną przy źrebcu, który padł z ran i ostatnie właśnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że i chłopakowi niewiele się należy, trzymał jednak chorągiew obu rękoma przy piersiach.  
Porwano go natychmiast i przyprowadzono przed kasztelana. Stanął tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaniną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem niezgasłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

-Jakże to? - spytał - ten zdobył królewską chorągiew?  
-Własną ręką i własną krwią - odparł Szandarowski. -On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich superavit!  
-Prawda jest! rzetelna prawda, jakoby kto spisał - zakrzyknęli towarzysze.  
-Jak ci na imię? - spytał chłopaka pan Czarniecki.  
-Michałko!  
-Czyj jesteś?  
-Księży.  
-Byłeś księży, ale będziesz swój własny! - odrzekł kasztelan.  
Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi zachwiał się i padł głową na kasztelańskie strzemię.  
-Wziąść go, dać mu wszelki starunek. Ja w tym, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!  
-Godzien tego! godzien! - zakrzyknęła szlachta.  
Po czym wzięto Michałka na nosze i wniesiono do plebanii.

Henryk Sienkiewicz, *Potop*, tom III, r. 29

Link pomocniczy dla nauczyciela:

<http://www.wilanow-palac.pl/czy_choragiew_szwedzka_zdobyl_michalko.html>